

BOLESŁAW PIACH

DZWONNIK
ROCZDELSKI

Bolesław Piach

Dzwonnik roczdelski

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55844094

Dzwonnik roczdelski:

Аннотация

W swojej nowelce Dzwonnik roczdelski Bolesław Piach opowiada o pierwszej kooperatywie spożywczej, którą w 1844 roku powołali do życia tkacze z Rochdale, jednego z głównych wówczas ośrodków przemysłu włókienniczego na terenie Wielkiej Brytanii. Jednak najważniejszym tematem nowelki jest praca dzieci, którą Piach pokazuje na przykładzie losów dwunastoletniego Boba Sandersa, tytułowego dzwonnika. Nadciąga zima i Bob, zatrudniony w roczdelskiej fabryce, musi poszukać sobie lokum, które pozwoli mu przetrwać najgorsze mrozy. Zarobki Boba nie wystarczają na życie – trzeba bardzo oszczędzać na jedzeniu, żeby zapłacić za miejsce we wspólnym łóżku z innym tkaczem, dorosłym już Johnem Windersem. Na szczęście Bob dobrze trafił, John bowiem okazuje się człowiekiem nie tylko życzliwym, ale i przedsiębiorczym – chce, by robotnicy z Rochdale założyli sklep spółdzielczy, w którym po rozsądnych cenach będą mogli kupować żywność – świeżą i dobrej jakości...

Содержание

Rozdział I	4
Конец ознакомительного фрагмента.	16

Bolesław Piach

Dzwonnik roczdelski

Rozdział I

Otworzył oczy i natychmiast stał się czujny jak małe zwierzątko. Nie było żadnej przerwy między snem a całkowitym przebudzeniem. Mały Bob Sandert, od czasu jak rozpoczął prawdziwie samodzielne życie, to znaczy od dwóch prawie lat, nauczył się wychodzić na spotkanie nadchodzącego dnia bez żadnej zwłoki, bez żalu, bez rozpamiętywania snów.

Jednym ruchem odrzucił z siebie derkę, którą się przykrywał, wstał, wyrównał starannie wiązkę słomy, na której leżał, i nakrył ją derką.

Nie musiał się ubierać. Już od miesiąca sypiał w kompletnym ubraniu, a od tygodnia nastały takie chłody, że chętnie ubrałby się do snu w trzy, albo i cztery kurtki.

Miał jednak tylko jedną kurtkę. Nie wyglądała zbyt pięknie, a to, że służyła Bobowi za nocną koszulę, nie czyniło jej wcale piękniejszą. To samo można by powiedzieć o długich, sięgających pięt spodniach.

Bob zresztą nie rozmyślał nad swoją garderobą. Wsunął stopy w drewniane chodaki i, klekocząc nimi po twardo ubitej ziemi, podszedł do małych drzwiczek w rogu szopy, pchnął je i wyszedł

na podwórze.

Wstrząsnął nim chłód wczesnego jesiennego poranka. Pomyślał sobie ze smutkiem, że zima już się zbliża, że niedługo już będzie mógł wytrzymać w szopie kowala Smitha, który wprawdzie każdej wiosny zajadłe targuje się z nim o komorne, ale za to jak przychodzi do płacenia, macha tylko ręką, kpi po swoim z Boba, z siebie i z całego świata, a pieniędzy nie bierze.

Tak, tak! Dobry chłop z tego Smitha. Kpi sobie wprawdzie z Boba, wyśmiewa go, ale robi to w taki sposób, że nie można mieć do niego o to pretensji. W całym Roczdelu¹ nie ma ani jednego człowieka, którego by Smith nie znał i o którym by nie miał czegoś śmiesznego do opowiedzenia.

Jakby tam zresztą z kowalem nie było², lada dzień mrozy chwycą i trzeba się będzie wynieść z jego szopy. Za ką w ogrzanej izbie trzeba gospodarzom płacić, a tu jeszcze i inne zimowe wydatki nadchodzą. Ukryte pod słomą trzewiki domagają się gruntownej reparacji³, warto by też postarać się o jakąś koszulę, a choćby i ciepły serdak. Zima przecież... nie żarty.

Któraż to może być godzina? Kuźnia jeszcze na głucho zamknięta, w mieszkaniu państwa Smith okna szczelnie założone

¹ *Roczdel*, właśc. *Rochdale* – miasto w Wielkiej Brytanii nieopodal Manchesteru, w XIX wieku centrum przemysłu włókienniczego. [przypis edytorski]

² *Jakby tam zresztą z kowalem nie było* – dziś popr.: Jakkolwiekby tam zresztą z kowalem było. [przypis edytorski]

³ *reparacja* (daw.) – naprawa, reperacja. [przypis edytorski]

okiennicami. Za drewniakiem Bartów nad błotnistym stawem wisi gęsta mgła, za którą ledwie widać czerwone mury fabryki.

Wcześniej jeszcze. Może dopiero za jakąś godzinę rozlegnie się pierwszy gong fabryczny. Można by jeszcze pospać godzinę, ale Boba już obsiadły zimowe troski i kłopoty. O ciepłym serdaku nie ma co marzyć. Pierwsza rzecz to spłacenie długu w sklepiku, a później ta reparacja butów. Na samym końcu, jeżeli się da coś zrobić, można będzie pomyśleć o kupnie koszuli.

Tymczasem warto by się zakrzętnąć koło śniadania.

Jak co dzień tak i tym razem Bob przeżywa chwilę rozterki. Zupa „od wczoraj” stoi w garnuszku. Chleba też jeszcze jest spory kawałek – czerstwy już, ale zjeść go można. Tylko że to wszystko jest takie „chude”... Czy nie kupić by paru łutów⁴ szmalcu⁵? Można by zupę okrasić albo i ten chleb posmarować...

Zziębnięte wnętrzości Boba domagają się jakiejś tłuszcieszej strawy, ale Bob jest rozsądny i dotrzymuje danych sobie przyrzeczeń. Żadnych hulanek w tym miesiącu! Trzeba zaoszczędzić na dług u sklepikarza i na szewca.

Więc do roboty! W kącie podwórza, za studnią, leży wczoraj jeszcze przygotowana kupka wiórów z fabrycznej stolarni. Można będzie na nich odegrzać tę zupę.

Przechodząc koło studni, Bob znów walczy z sobą. Umyć się czy nie umyć? Tak zimno, a ta studzienna woda pewnie jest jak lód. Po długich wahaniach wyciągnął ceberek wody i umył w

⁴ *lut* – dawna jednostka masy (1/32 funta). [przypis edytorski]

⁵ *szmalec* (gw.) – smalec. [przypis edytorski]

nim twarz i dłonie. Co do reszty, to obiecywał sobie mętnie, że później... potem... po śniadaniu... Wytarł się wyłogiem kurtki i wygarnął zza studni sporą wiązkę⁶ wiórów.

Wracając z wiórami do szopy, spojrzął raz jeszcze w stronę drewniaka Bartów. Mgła opada już na dobre. Trzeba się śpieszyć z tym śniadaniem. Warto by się jeszcze przed pójściem do pracy rozejrzeć za jakimś kątem na zimę.

*

– Mówił mi pan Smith, że u państwa mógłbym pomieszkać przez zimę...

Wielka pani Winders nie odpowiada. Zachowuje się tak, jakby Bob nic nie powiedział, jakby go w ogóle nie było. Pochylona nad kuchnią dmucha z całych sił w palenisko. Wszystkimi licznymi szparami kuchni wydobywa się gęsty dym, ale płomień jakoś się nie pokazuje. Bob pomyślał sobie, że drzewo pewnie zamokło i że niełatwo będzie rozpalić ogień.

Trudno. Trzeba poczekać. Niech sobie pani Winders mruczy gniewnie nad swoją robotą, a Bob tymczasem rozejrzy się po izbie.

Nie dlatego, żeby był⁷ ciekaw, jak ta izba wygląda! Bob zna wiele mieszkań roczdelskich tkaczy i wie, że wszystkie są prawie jednakowe. Zaduch, ciasnota i zniszczone graty – to wszystko.

⁶ *wiązka wiórów* – dziś raczej: garść, kupka wiórów. [przypis edytorski]

⁷ *Nie dlatego, żeby był* – dziś popr.: nie dlatego, że jest. [przypis edytorski]

Tu, u pani Winders, jest nawet obszerniej i czystszej niż gdzie indziej. Ale to nie o to chodzi. Bob rozgląda się, bo interesują go ludzie, z którymi być może będzie przez jakiś czas mieszkał. Czy to duża rodzina? Czy są małe dzieci, które płaczą po nocach? Czy oprócz Boba będą jeszcze jacyś inni lokatorzy, a głównie – ilu ich będzie?

Tak na oko niełatwo się zorientować, ale Bob ma wprawę. Kombinuje.

Zupełnie małych dzieci chyba tu nie ma, bo nic dokoła nie wala się po podłodze, nie ma też żadnej kołyski ani chustki zawieszanej u okapu pieca.

Ta dziewczyna, która przykucnęła sobie cicho w najciemniejszym kącie izby, ma już co najmniej siedem albo i osiem lat. Może już nawet pracuje w fabryce przy zbieraniu odpadków – Bobowi wydaje się, że już ją gdzieś widział, pewnie w fabryce...

Gospodarza nie ma; pani Winders jest wdową, tak powiedział kowal Smith... Ale co to?

Zza zielonej pluszowej zasłony słychać starczy męski kaszel. Tam pewnie jest mała alkowa bez okna. Mieszka w niej jakiś stary krewny albo lokator. Raczej lokator niż krewny, bo taką alkowę każdy chętnie wynajmuje – zawsze to własny kąt – a krewny spałby we wspólnej izbie.

A kto to jest ten młody półnagi mężczyzna, który myje się właśnie w blaszanej misce? I jego Bob zna z widzenia. Nieraz spotyka się z nim na dziedzińcu fabrycznym. To na pewno tkacz.

Ale kim on jest dla pani Winders? Synem...? Lokatorem...?

Odwraca co chwila mokrą twarz w stronę Boba i uśmiecha się jakoś bardzo szczerze i serdecznie. Wreszcie woła:

– Słuchaj no, smyku! Nie mógłbyś mi umyć pleców? Sam jakoś nie mogę dosięgnąć, a Sylwia obraziła się na mnie, więc wlaża w kąt i nie chce ze mną gadać.

Bob zbliżył się do niego i dużym kawałkiem mydła zaczął mu szorować plecy. Zadawał przy tym pytania ostrożnie i jakby od niechcenia.

– Pan pracuje w fabryce, prawda?

– Aha!

– Czy pan... czy pan jest synem pani Winders?

– Tak. Nazywam się John Winders, a ta mała, tam w kącie, to moja siostra Sylwia. Obraża się, jak jej powiedzieć, że jest piegowata, a to przecież święta prawda. Ma cztery piegi na nosie. Możesz tam do niej podejść i sam przeliczyć.

W ciemnym kącie Sylwia poruszyła się gwałtownie i zamamrotała coś z wściekłością.

– Ooo! Widzisz, jaka rozkoszna? Lepiej nie podchodź, bo cię podrapie! – John roześmiał się na cały głos. – Ty chcesz u nas mieszkać? Słyszałem, jak pytałeś o to moją matkę. Z nią nie ma teraz co gadać. Kuchnia się zepsuła i dymi, więc matka jest nie w humorze.

Roześmiał się jeszcze głośniejszym i weselej niż przedtem.

– Trzeba ci wiedzieć, że kobiety z naszej rodziny nie mają anielskich charakterów. Teraz wytrzyj mi plecy, dobrze?

Właśnie kiedy Bob kończył to wycieranie, pod blachą małej kuchenki zahuczał ogień. Pani Winders wyprostowała się, otarła fartuchem spoconą twarz i spojrzała bystro na Boba.

– Chcesz tu mieszkać?

– Tak, proszę pani. Przysłał mnie kowal Smith.

– A kto ty jesteś?

– Nazywam się Sandert. Bob Sandert, proszę pani. Pracuję tu w fabryce przy warsztacie tkackim.

Głośny, basowy, chrypiący głos zawołał:

– Wyrzućcie tego tkacza! Do licha z nim. Nie będę mógł patrzeć na szczeniaka! Wyrzućcie tego smarkacza za drzwi!

Zielona pluszowa zasłona odchyliła się gwałtownie i w ciemnej wnęce alkowy stanął olbrzymi, przeraźliwie chudy starzec. Zagryzał ze złością rzadką siwą bródkę, drżącą rękę wyciągnął w stronę Boba i mamrotał jakieś niezrozumiałe, zagubione w kaszlu przekleństwa.

Nie wiadomo, czy kaszel, czy irytacja sprawiła, że posiniał na twarzy i groźnie wytrzeszczył oczy. Wyglądał tak przerażająco, że Bob pobladł i skrył się za plecy Johna.

Ale oprócz Boba nikt nie przejął się wejściem i krzykami starca. Sylwia siedziała cichutko w swoim kąciku, pani Winders wzruszyła ramionami i wróciła do kuchni, a John roześmiał się wesoło i równie swobodnie jak przedtem.

– Nie dziwaczcie, Henry. Co wam zawinił ten smyk?

Stary wzniósł obie ręce nad głową i jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy.

– Co zawinił? Pytasz się jeszcze o to?! Ach, prawda! Zapomniałem, że ty masz jeszcze pracę, jeszcze ci żaden taki szczeniak kawałka chleba z ust nie wydarł. Spójrz na niego, Johnie Winders! Przecież on nie ma jeszcze dziesięciu lat!

– To i co z tego?

Ale już i Bob uznał, że czas mu się wtrącić do tej rozmowy.

– To nieprawda – krzyknął, ukryty bezpiecznie za plecami Johna – mam już skończone dwanaście lat!

– Dwanaście lat! Słyszysz John? Dwanaście lat ma ten pędrak, a ja mam pięćdziesiąt dwa. On wygląda na dziesięć, a ja na osiemdziesiąt. On ma pracę, John, a ja nie mogę jej dostać. On zabiera pracę i chleb dorosłym mężczyznom! On i ta mała diablica Sylwia. Wyrzucicie tego smarkacza, bo zobaczycie, że mu jeszcze coś złego zrobię. Ręce trzeba takim ucinać! Żeby nie odbierali pracy nam! Nam...

John splunął ze złością.

– Tfu! Do licha! To wy, Henry, już takiej prostej rzeczy nie rozumiecie, że dzieciak nie jest temu winien? Sami przecież powiedzieliście, że wygląda na dziesięć lat, choć ma już dwanaście. Wy dobrze wiecie, z czego ten młody wygląd. Z pracy nad siły, z niedojadania, z niewysypiania się. Czegóż wy chcecie od dziecka? Fabrykantowi taniej się kalkuluje jego praca niż wasza, więc jego bierze, a nie was. Czy taki mały smyk nie powinien się uczyć? Umiesz ty czytać i pisać, Bob?

– Umiem czytać drukowane. Pisać nie umiem, panie Winders...

John nie śmiał się już po swojemu. Oczy miał poważne i smutne.

– Czy wiecie, Henry, skąd się wziął w fabryce ten mały Bob Sandert?

– Mogę powiedzieć – mruknął Bob – tu nie ma żadnej tajemnicy.

– Nie. Poczekaj Bob. Ja spróbuję zgadnąć, dobrze? Jeżeli się pomylę, to będziesz mógł później powiedzieć swoje. Więc słuchajcie, Henry. Tego tu małego Boba znaleziono przed dwunastu laty na schodach domu podrzutek. Do chustki, w którą był owinięty, przyczepiona była karteczka z imieniem i nazwiskiem – pewnie to wszystko było zmyślane, ale matka chciała, żeby mały miał przynajmniej jakieś nazwisko, skoro nie może mieć własnej matki ani własnego ojca. W tym domu podrzutek był do tego czasu, póki nie nauczył się chodzić. Potem oddali go do sierocińca. Nie myślcie sobie, że dzieci mają w takim sierocińcu słodkie życie! Skąpe jedło, wokoło obcy, twardzi, zabiedzeni i zniechęceni dorośli ludzie, nie najlepsze traktowanie, nierzadko i bicie... No, ale jakoś się tam Bobowi żyło. A tymczasem fabrykanci coraz to ulepszali swoje maszyny tkackie, coraz to mniej było przy tkactwie odpowiedzialnej, fachowej roboty, a coraz więcej tych mechanicznych cudów. Skoczyli po rozum do głowy i wymyślili... wy sami najlepiej wiecie, co wymyślili. Po kiego licha było im zatrudniać takich starych tkaczy jak wy, którym trzeba płacić tyle, żeby przecież jakoś z rodzinami nie poumierali z głodu, skoro mogli przy

maszynie postawić małego pędraka albo starą kobietę i płacić im jakiś bagatelny grosz. Tak też i zrobili. Do tego sierocińca, w którym był Bob, przyszedł pewnego dnia, to pewnie było ze trzy lata temu, agent, taki – wiecie – jak ten z piosenki o małym Hardym, i zabrał go wraz z innymi bachorami⁸ do fabryki... Kierownicy tego sierocińca zgodzili się. No bo i pewnie... Niech sobie takie bachory pochodzą do warsztatu, niech się czego⁹ nauczą...

Bob słuchał tego wszystkiego z najwyższym zdumieniem. Czary jakieś, czy co? Skąd on tak dobrze wie...? Stary Henry też słucha uważnie. Ciągłe jeszcze zagryza siwą bródkę, ale oczu już tak nie wybałusza i w ogóle wygląda o wiele łagodniej.

A John ciągnie dalej:

– No więc przyprowadzili Boba do fabryki i na początek dali mu zajęcie przy zbieraniu odpadków albo przy darciu szmat. Sypiał w tych barakach za stawem. Byliście tam kiedy, Henry? Nie, a więc mogę was zapewnić, że nie ma tam luksusu. Brud, zaduch i zimno. Nie bawią się tam z bachorami w żadne czułości. Wam teraz jest ciężko, ja wiem, ale to wam powiadam, że na pewno nie wzięlibyście do ust tej strawy, którą tam dostają te dzieciaki. Tam mieszkał Bob rok, a może i więcej. W zeszłym roku, kiedy skończył jedenaście lat, okazało się, że jest dorosły, że może już pracować przy warsztacie i że może sam się starać o własne wyżywienie. No i jak widzicie, stara się. Jeżeli sam się

⁸ *bachor* (pogard.) – dziecko a. dziecko nieślubne, bękart. [przypis edytorski]

⁹ *czego* – tu dziś popr.: czegoś. [przypis edytorski]

nie postara o jakieś mieszkanie na zimę, to będzie marzył.

John nabrał oddechu, bo zdyszał się przy tym prędkim opowiadaniu, i spojrzął na Boba.

– No i co Bob? Prawdę powiedziałem?

Bob zawołał z uwielbieniem:

– Najprawdziwszą prawdę, panie Winders. Ja tak sobie właśnie myślę, tak się dziwię, skąd pan to wszystko wie? Przecież nie opowiadałem panu o tym. Tyle tylko, że z sierocińca zabrali mnie do fabryki równe cztery lata temu, w listopadzie tysiąc osiemset czterdziestego roku, a nie trzy lata, jak pan powiedział. I na swoim też już jestem dwa lata, a nie jeden rok. Ale wszystko inne to sama prawda.

John roześmiał się z tryumfem.

– Widzicie, Henry! Tak jest prawie zawsze. A wy mówicie, że on wam kawałek chleba zabrał? Niewielki jest ten jego kawałek, możecie mi wierzyć!

Stary nie odpowiedział, zakaszłał gwałtownie, odwrócił się i znikł w milczeniu za swoją pluszową zasłoną.

Bob spoglądał za nim z zaciekawieniem. Wielu już widział starych bezrobotnych tkaczy, ale takiego dziwaka nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać. Można z nim będzie prowadzić długie ciekawe rozmowy. Bob tak lubi, tak bardzo lubi rozmawiać z dziwnymi, niecodziennymi ludźmi! Coraz większą ma ochotę do zamieszkania razem z Johnem i z tym starym tkaczem. Tylko... ta milcząca pani Winders i ta Sylwia w ciemnym kącie izby... No ale to już trudno. Bob dawno już doszedł do przekonania,

że rozsądny mężczyzna nie powinien zwracać uwagi na kobiety. Nie wiadomo, po co toto chodzi po świecie.

A właśnie „toto”, czyli pani Winders, mówi do Boba ostrym i chropowatym głosem!

– No to już przynieś wieczorem, po pracy, swoje manatki. Zrobi ci się posłanie w tamtym kącie przy oknie. Pościel masz?

– Mam, proszę pani, derkę.

– I nic więcej, co? Jakbym wiedziała! No trudno! Coś ci będę musiała wykombinować. Przyjdź wieczorem.

– A ile ja będę płacił, proszę pani?

– O tym też wieczorem pomówimy. Nie bój się. Nie skrzywdzę cię! Zobaczymy, jak nam się będzie razem mieszkać.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.